Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 31. POZNAŃ. **1844.**

POEZJA.

Jako piastunka dziecinę — ukołysałam wspomnienia
Drzemią w sercu — w kolebce. — Jako zwierciadła jeziora
Z nieruchomym księżycem i nieruchomemi gwiazdami
Odpoczywa toń modra — nowéj nabiera potęgi
Żeby o nagą pierś brzegu, fale roztrącać spienione —
Drzemią moje wspomnienia; — alež niedługo zakwilą
Żebrząc łez u méj duszy jako niemowle pokarmu.
Moja dusza ich matka! Boleść i smutek bliźnięta
U jéj piersi zawisną. — Kocham Was, kocham wspomnienia!
Kocham was gwiazdy zamglone — niegdyś tak świetnie płonące!
Dziś mi jak próchno osiny połyskujecie w ciemności,
Światło wam dniowe nie wydziera połysku — bo dla mnie
Nié masz dnia i w dzień biały. — O! bo są mroki, są noce
Których i słońce nie spędza. O! bo są ludzie dla których
Inne zapalił Bóg słońca — O! bo są dusze co sobą
Świat ogarnęły i same światem przez siebie się stały.
Tacy ludzie z myślami, z uczuć ognistych gwiazdami
Krążą koło słońc wielkich, słońc zmartwychwstania ludzkości,
Cóż gdy zagaśnie ich słońce? — to na wędrówkę wskazani,
W wiekuistym pomroku dręczą się celu wielkością
Który uczuli w swém łonie — a doścignąć nie mogą! . . .
A ich serca to otchłań — w niéj pałające uczucia,
Samsonowa wre rozpacz — co lub wybuchnie piorunem
I gruzami przywali — lub jako drza w bezczynności
Zgryzie piersi żelazne; — a myśl, na którą przeczekał
Długie świat wieki — ulata niepojętą w przestworze,
Błąka się jako ptaszyna nocą z gniazda wygnana
Póki nie przyjdą wieki, co ją za dziecię przyswoją.

Julija Brzozowska.

Znajdek.

Baśń gminna.

(Z Wspomnień Romana Mazura.)

Śmierć i żona,
Od Boga sądzona.
Przysłowie narodowe.

W czerwonym zamku, nad niebieską rzeką mieszkał stary jeden książe, ojciec syna jedynaka. Kiedy syn dorósł młodzieńca, siwy rodzic w rycerski gotował go zawód, a widział do boju że mu wystąpić bez wstydu już można, ogłosił wielką wyprawę, wzywając komu w tém wola na warowny zamek swój. I wnet też zbiegło się zewsząd wojowników co niemiara; — każdy konno, każdy zbrojno, i szerokim się obozem rozłożyli; ale się im leżeć dłuży, i niecierpliwie pytają, w którą stronę ciągnąć na bój?

Kazał tedy stary książe wynieść rozwitą chorągiew przed zgromadzone rycerze, — mężowie głośnym powitali ją okrzykiem, i ciekawemi patrzą oczyma; aż na raz powiał wiatr chłodny — rozwinął czerwone fałdy i Orzeł Biały, śrebrnemi skrzydłami jakby do lotu się rwąc, powiał ku podlaskiéj stronie. »Na pogany! na pogany!« wrzasł wraz obóz cały, i rozbiegli się co rychle gotować na krwawą drogę: ostrzą miecze, konie poją, w żelazne się zbroje stroją. — Zanim w drogę wyruszyli, ucztę żołnierską sprawili: dziesięciu wołów zabili, dziesięć beczek wytoczyli, i usiedli pod wrotami, wino, miód piją konwiami.

Nad brzegiem rzeki, po piaszczystéj drodze szedł sobie dudarz wędrowny, siwy jak gołąb' staruszek; zobaczył podle zamku biesiadę wojacką, i poszedł tam z swoją dudą zagrać im i śpiewał, na bój krwawy ich zagrzéwał; rycerze go uściskali, winem, miodem uraczali: — potém wziął im z ręku wróżyć, jak los będzie w boju służyć. I wróżył jednym szczęście, nieszczęście drugim, — jednym chwałę i plon wielki, drugim śmierć, rany i ciężką niewolę, jak sam wiedział, tak im mówił: i odchodzili od niego ci z nadzieją i pociechą, owi ze smutkiem i żalem. Aż wreszcie przyszli do wróżka dwaj najstarsi hetmanowie i kazali prorokować jako się im powieść miało. Pierwszemu powiedział starzec, że śmierć go w téj wojnie spotka, śmierć haniebna nie na polu, jedno na suchéj gałęzi, i nie będzie miał pogrzebu, ale kruki ze wronami podzielą się jego ciałem, kościami wilki drapieżne; drugiemu zasię zwiastował, że wyjdzie szczęśliwie z bitwy i wróci do domu z niesłychanym łupem. — Gdy ode-

szli hetmanowie, przyszedł młody syn książęcy; stary spojrzał mu na dłonie:

— »Młody książe! idź w pokoju —
Zdrów i sławny wrócisz z boju.« —

Uradowany książe, dał dziadkowi sztukę złota, ale nieodszedł od niego, i pytał o wtórą wróżbę: czy rychło dostanie żony — i kto taki mu sądzony?

— »Zą rok od powrotu z wojny, ożenisz się młody książe, i dostaniesz żonę młodą, urodziwą i cnotliwą, ale nie będzie to córa ani króla, ani książęcia, ani też żadnego pana, jeno będzie to sierota znaleziona na śmiecisku.«

Roześmiał się głośno książe i zawołał do wróżbiarza:

— Czyś ty głowę stracił, stary! zkądże tobie wróżba taka? Czyżem ja nie syn książęcy, czym nie młody i nie dzielny bym miał taką pojąć żonę? Byle bym tylko zażądał, czy księżniczka czy królówna, wnet każda by moją była — a ty miasto nich, dajesz mi jakiegoś znajdka ze śmieci. — Powróż no raz jeszcze dziadku! widno nie dobrześ dopatrzył. —

— »Wiem ci ja, Panie! żeś ty syn książęcy, dzielny, młody, urodziwy, że ci królówna za żonę przystała, i każda by za cię chciała; przecież tak ci przeznaczono, że mieć będziesz za żonę sierotę bez rodu, na śmiecisku porzuconą. Moja wróżba nie zawodzi.«

Książe rozśmiał się na nowo, bo niewierzył słowom jego, i wsiadł na swego cisaka. Wojsko w szyki się sprawiło, — zatętniało, wyruszyło. Wieją znaki rozwinione, błyszczą szyszaki stalone; ostre szabelki brząkają, rżą rumaki, trąby grają. . . . . .

✦ ✦ ✦

Przeminął miesiąc jeden, drugi i trzeci przeminął — pół roku czasu ubiegło, jak młody książe wyciągnął na pogany z ojców zamku, a dotąd ani ich widać, ani słychać o wojakach. Jak kamień w wodę, przepadli w lasach Polesia bez śladu. Stara matka co dnia prosi na kolanach o wieść dobrą, prosi o powrót swego jedynaka; stary ojciec stawił czaty na wysokiéj zamkowéj baszcie, dniem i nocą im przykazał patrzeć czy syn nie powraca — i niewierząc ich oczom czaty sam co dnia długie godziny stoi i czuwa oczyma, czy wracających nie dojrzy. Aż oto jednego razu widać nad zachodem słońca tuman wznosi się na drodze — coraz bliżéj, coraz bliżéj, rośnie ciągnąc się przez błonie, — widać już z poza kurzawy wojsko ciągnące z wyprawy! wieją znaki rozwinione, błyszczą szyszaki stalone; ostre szabelki brząkają, — rżą koniki, rogi grają — rycerze w zamek wjeżdżają.

Niezmierna radość była tedy w zamku — młody książe wrócił z plonem, z tysiącem jeńców zabranych; w boju sam własną ręką zabił wodza nieprzyjaciół, w jednéj wyprawie staréj nabył sławy, a sam ni razu w walce nie szwankował, ni koń jego dostał rany, ni zszczerbiła mu się szabla. Stało się jak mu wróżył na wyjezdném dudarz stary. Ale nie tylko jemu jednemu, wszystkim się starca sprawdziły proroctwa: jeden hetman wrócił z wojny, niesłychany łup wiodąc do domu, drugi raniony wpadł poganom w ręce, a jako znali ile za skórę im zalał, mszcząc się, powiesili go na łykowym sznurze u krzywéj gałęzi sosny; kruki i wrony oskubały ciało, kości głodne wilki zjadły.

Widząc wówczas młody książe tak spełnione wszystkie przepowiednie, wspomniał sobie oną wróżbę, że ma mieć żonę podrzutka bez rodu; a jako srodze był dumny swém księstwem, począł się bardzo frasować przyszłym losem. — Była zaś na dworze owym, młoda dziewczyna imieniem Marja, którą, gdy była dziecięciem, znaleziono na śmiecisku pod zamkiem, wzięła do siebie sierotę dobrotliwa księżna matka i jako córkę chowała, gdy urosło owe dziewcze, tak cudną miało urodę, tak była dobra, skromna, a rozumna, że się oboje księstwo jakby do rodzonéj córki przywiązało do wychowanicy, pieścili jak oko w głowie i nieba radzi by jéj przychylili. Młody książe też ją kochał, jak gdyby własną swą siostrę; ale teraz jedną razą przyszło mu na myśl, że pewno ową sądzoną mu żoną będzie sierota Marja, — i razem na biedną dziewczynę zajął się tajemnym gniewem. Co spojrzał na nią, to za każdym razem srodzéj coraz nienawidził, coraz to go bardziéj bodła myśl, że ona ma być mu żoną; w złości zaklął się nareście, że na przekór wszystkim wróżkom i woli choćby niebieskiéj, nic z tego nigdy nie będzie małżeństwa. Odtąd począł tylko myśleć, jakimby skrytym sposobem zbyć się nienawistnéj sieroty; póty myślił, aż wymyślił. — Rozkazał tedy tajemnie ustawić na rzece czółn kryty, bez steru, masztu i wioseł, a gdy stanął już gotowy, zanieść nań chleba i wina, i wszystkiego co tylko do życia potrzeba. Jednego zatém poranka wziął za rękę biedną Marją i niby też to przechadzką, wyprawił ją nad rzekę pomiędzy gęste zarośla: tutaj stanął, klasnął w ręce — na znak wybiegli słudzy książęcia z zasadzki, porwali zlękłą dziewczynę i nieśli do owéj łodzi, a zamknąwszy ją w pośrodku, drzwi zabijali gwoździami. Ona niewiedząc co się wszystko znaczy, zaczęła wołać ze łzami:

— »Bracie kochany! ratuj mnie! . . . Co ci ludzie ze mną robią.«

— Pańskim syn ja, a nie brat twój, znajdku przeklęty ze śmieci! Dość ci się świecić po książęcym dworze — idź w świat gdzie cię wiatr poniesie! —

Nieszczęśliwa sierota zalała się łzami i poczęła łamać ręce, woda tymczasem rączo ją niosła — niosła daléj, coraz daléj, gdzieś tam w nieznajome strony. .

✣ ✣ ✣

Był jeden dzień, i była noc, i był drugi dzień — na drugą noc zaczął wiać wiatr wielki, rzeka się rozkołysała, i rzucała łodzią drewnianą to na tę, to na tę stronę, a dziewczyna struchlała modliła się już na śmierć. Wicher czółn pędził wprost na brzeg, i wpędził je pod koło pływającego młyniska, kędy bezpieczne jak w porcie zostało aż do poranku. O szarym ranku parobek młynarski chce puścić kamień do mlenia — darmo, koło ani ruszy, wychodzi patrzeć coby za przyczyna, aż patrzy: stoi pod młynem ogromna zabita skrzynia. W skok pobiegł dać znać młynarzowi, i przyszli obaj z siekierami w ręku, i jęli się odbijać zamkniętego wieka. Niezmiernie się zadziwili, gdy znaleźli odbiwszy młodziutką, strojną dziewczynę i żegnając się wielkim krzyżem, niewiedząc zkądby się wzięła, pytać poczęli kto była. Sierota uradowana, że natrafiła nareście na ludzi, rzuciła się ze łzami do nóg starego młynarza i szczerze wyznała wszystko; młynarz poczciwy ulitował się biednéj, — jéj doli i wziąwszy do dom oddał pod opiekę żony. Im dłużéj z niemi bawiła, tym bardziéj oni lubowali w niéj sobie, a że nie mieli nic dzieci, przybrali biedną Marję za córę; i znowu sierocie wróciły dnie błogie, bo choć to nie dwór książęcy, ale dom był dostatni i ludzki. Nie było się też bać czego, by ją książe miał tu znaleść, bo młyn stał w środku lasu, zdaleka od dróg i ludzi: tak więc spokojna, wesoło pędziła czas swój, biegając po lasach zielonych, łowiąc wędką rybki złote, szyjąc wzorzyste zasłony, bawiąc z gośćmi przyjezdnemi.

Dnia jednego o południu — pogoda była prześliczna, woda cicha jak zwierciadło gładką szybą uciekała — młoda sierota siadła w lekką krypę, z czerwonéj sobie chusteczki rozpięła żagle nad głową, i u brzegów się powożąc, zrywała lilje białe na wianek. Jedną razą koło młyna słyszy hałas, sztukot kopyt, — spojrzy, z zielonego lasu jedzie myśliwców drużyna prosto do białego młyna; przodem, na siwym cisaku jedzie młodzian urodziwy. Dziewcze, jak go zobaczyło, na pół od strachu skostniało; poznała młodego księcia, zawziętego na swą zgubę, zmiarkowała, że jeżeli znowu w ręce jemu wpadnie, Bóg wié jaki los ją czeka, — więc co prędzéj lekkiém wiosłem odepchnęła łódź od brzegu, dążąc co siły tylko starczyło na drugą stronę rzeki szerokiéj. Książe, skoro ją zobaczył z daleka, poznał natychmiast sierotę, a jako szczęśliwy wielce był, że się jéj pozbył i nigdy widzieć się niespodziewał, zapalił się srogą złością i pieniąc się, zeskoczył z konia, wpadł do młyna, i łając młynarza, pytał zkąd ma tę dziewczynę?

Młynarz na to opowiedział jak ją woda przypędziła pode koło jego młyna, ale nie mówił nic księciu, że wié o jego złéj sprawie, którą wyrządził dziewczce. — Książe rozkazał czemprędzéj kilku dworskim wpław przez wodę, i gonić na wszystkie strony uciekającą Marją. Ale ona skoro tylko dobrała się na brzeg drugi, zamiast uciekać bitemi ścieszkami, spodziewając się pogoni, w bok czem prędzéj uskoczyła; w najgłuchszéj gęstwi olszyny, na bagnisku pełném trzciny ukryła się, prosząc Boga, by ją od zawziętego nieprzyjaciela zachował. — Dworscy wpław rzekę przebyli, na brzeg raźno się zawzięli — jeden lewą, drugi prawą, każdy inną ścieszką ruszył w czwał; długo gonili, konie pogrzali, — długo po lesie szukali, o ostre głogi, o gęstą leszczynę podarli suknie zielone i wszystko na próżno! z niczém powrócili. —

Biedna sierota tymczasem, we strachu, aż do nocy w bagnisku mokrém przeczekała; o ciemnym zmroku wybiegła z trzciny i poszła najmniejszą ścieszką, ostremi krzemieniami białe nogi krwawiąc, gorzkim płaczem oczy łzawiąc.

✣ ✣ ✣

I biegła tak tydzień cały ową ścieszką kamienistą, lasami nieprzebytemi, stronami nieznajomemi, niespotykając żadnéj żywéj duszy, pijąc jasną wodę kryniczną, karmiąc się czarną borówką, malinami czerwonemi, kamionkami ziarnistemi, aż wyszła wreście na otwarte pole, na drogę zacienioną wonnemi lipami. Po nade drogą, na wzgórku, z po za muru wysokiego wygląda ogród rozkoszny — wiśnie, grusze, jabłka złote; — z za drzew czterema wieżami przezierał zamek bogaty, stolica księcia tych krajów. Na zamkowym, na krużganku siedzi dwanaście panien przecudownych, w białych sukniach, różanych wiankach; w ręku mają igły złote, na śrebrne nici dzieją perły drogie i granaty i brylanty, po drogich szyją niemi złotogłowach; — wszystko to siostry rodzone, wszystko to córki książęce. Słaba cała, podrapana, wygłodniała i spragniona przywlekła się do nich Marja, pokłoniła się pokornie i litościwie prosiła, by się nad nią zmiłowały i do służby swojéj wzięły. Księżniczki użaliły się nad biedną sierotą, nakarmiły — napoiły, balsamem rany zwilżyły, w nowe sukienki ubrały, aż

kiedy przyszła do siebie z nędzy, zapytały coby umiała? Ona prosiła by jéj pozwoliły haftować z sobą złociste kobierce; zadziwiły się księżniczki, zkądby taka umiejętność w ubożuchnéj służebnéj, ale dały jéj na próbę krosna: ona na nich tak cudowne wzory zatém wydzierzgała, że wszystkie córki książęce pierwszeństwo jéj przyznawały i ciekawie się badały, zkąd by była i los jaki przywiódł ją do takiéj nędzy. Marja tedy na ich wolą wiernie im opowiadała cokolwiek jéj się zdarzyło; kiedy słów jéj wysłuchały, szczerze nad nią się rozpłakały wszystkie sióstr dwanaście, ciesząc ją przyjazną mową i lepszemi nadziejami. A im dłużéj wśród nich była, tym bardziéj polubiły ją wszystkie siostry; i tak nareście pokochały, że za trzynastą siostrę wzięły ją pomiędzy siebie. — I znów oto powróciły dla Marji jasne jéj czasy — biesiady pańskie, radość, uciechy, a jednak nieboga co dnia wspominała dobrą księżnę co matką od dziecka jéj była i urodnego jéj syna, którego wprzód pokochała sama niewiedzący o tém, nim złości jego doznała na sobie, i dotąd mimo krzywd ciężkich zapomnieć wcale nie mogła. — A godzina za godziną, dzień za dniem ubiegał. . . .

Jednego dnia, ku wieczorowi wszystkie trzynaście dziewcząt siedziało na krużganku zamkowym, wiły wianki z róż, z bławatków, wesołe piosnki śpiewały— razem na drodze sadzonéj słychać gwar, turkot, tętnienie: spojrzą, aż tu ku zamkowi wali się orszak widno w zaloty. Idą złocone kolasy, konie drogiemi kryte makatami, sługi świeżo postrojone; na przodzie dorodnego orszaku młodzieży dwaj siwi swatowie jadą, pomiędzy nimi na cisawym koniu rzeźwy i hoży zalotnik, Marja skoro nań okiem rzuciła, krzykła z cicha: poznała wroga swojego, i poczęła prosić dziewic aby ją przed nim ukryły.

Księżniczki jéj przekładają, by się daremno nie bała, że u ojca ich, nikt nie ma mocy, żeby jéj zaszkodzić.

— »O moje kochane siostry! jeżli on mnie tu zobaczy, on tak zawziął się mnie zgubić, że choć mnie zasłonicie od przemocy jawnéj, on dokaże swego zdradą.«

Skryły ją tedy w ustronnych komnatach, a między sobą poprzysięgły zgodnie by żadna nie była żoną księcia, co tak strasznie wygnał z domu i prześladował zacięcie ukochaną ich siostrę.

Starzy książęta swatów w dom przyjęli, zalotów sąsiadowi swemu niebronili, byleby jeno ta, którą wybierze, zgodziła mu się ślubować. Wszystkie dwanaście sióstr, jedna w drugą, tak były wabne i hoże, że niebyło gdzie wybierać; młody książe głowę stracił do któréj się ma obrócić — wreście jął się ku najstarszéj; o kruczym włosie, o kruczém oku, z twarzą białą jako lilija. Mile do niéj się uśmiechał, z pod oka zalotnie patrzał, gładkiemi pochlebiał słowy, ona, jakby to nie do niéj, niby niewidzi, niby niesłyszy. Nad wieczorem niecierpliwy książe prosił dziewczęcia o rękę — czarnobrewa odmówiła, próżno przechwalał się przed nią z męztwa, sławy i dostatków, jakby groch na ścianę rzucał, marno poszła jego mowa. Młody Pan nigdy w życiu się tego niespodział, złością cały poczerwieniał, ode wstydu drżał jak febra — ale pomyślał: nie jedna, to druga — nie ty, będzie twoja siostra.

Będzie? — a kto wie, może i nie będzie! . .

Na drugi dzień począł się zalecać młodszéj siostrze, jasnowłoséj, o niebieskim jak bławatek oku, o rumianéj jak krew twarzy. Sypie dla niéj pochwał tysiąc, za rączkę kryjomo ściska, oczyma zawraca, wzdycha: ona niby nierozumie, patrzy mu bystro w oczy, śmieje się głośno, żartami ciska — było tego przez dzień cały. Wieczorem książe poprosił o rękę, złote góry obiecywał, cudne stroje, śliczne muzyki, całe życie uciech pełno: — próżno wszystko; Jasnowłosa ze śmiechem mu podziękowała za jego życzliwe chęci, wymawiała się, że nigdy sióstr swych by nieporzuciła — ale radziła szczęścia u kogo innego szukać. Książe ze śmiertelnego gniewu ledwie się posiadał, ale usłuchał jéj rady, i został w zamku na trzeci dzień.

Jak zszedł dzień pierwszy i drugi, zszedł trzeci, czwarty i piąty; dwanaście dni siedział młody zalotnik na zamku: — z kolei każdą siostrę prosił o dozgonną przyjaźń, z kolei wszystkie mu odpowiedziały. — Dnia dwunastego w okropnéj furyi wybiegł nie żegnając z zamku, wskoczył na cisaka swego, wbił mu w bok całe ostrogi aż krew z bieguna bryznęła, — i nie patrząc na nikogo, klnąc pędził drogą, którą tu przybył; za nim swaty sfrasowane i drużyna zadziwiona. I zniknęli w boru czarnym . . . . .

✦ ✦ ✦

Pół drogi nieujechali, kiedy książe wstrzymał konia: wszyscy ze siodeł zsiedli. W środku lasu, koło drogi, był tam kościół wpół zwalony, a przy nim mieszkał ubogi pustelnik; przy tym kościele kazał postawić szałasy z gałęzi, konie rozkiełznać i puścić na paszę, położyć się taborem. Dziwno wszystkim bardzo było co młody pan myśli robić, — alić wnet się dowiedzieli.

Książe obiecał rodzicom powrócić do domu z synową, przed rówienniki swoimi przechwalał się z przyszłéj żony, ze księżniczki urodziwéj z sąsiedzkiego kraju, — teraz miał byż z niczém wrócić? na pośmiech

i urąganie! — Zaklął się na czarta z piekla, że nie próżno w drogę jeździł, dwanaście dni w zamku strwonił.

— »Po woli, czy po niewoli, musi być jedna moją żoną.« —

(Dokończenie nastąpi.)

KRYTYKA.

Die
Atheisten und Gottlosen unserer Zeit
von
Friedrich von Sallet.

Leipzig. 1844. Druck und Verlag von Philipp Reclam jun.

Filozofia niemiecka dotąd u nas wielu znajduje nie mówię otwarcie na pole walki występujących, i oko w oko z nią się wręcz spotykających przeciwników, ale pokątnie w wybuchach uczuciowych i w karczemném kpaniu objawiających się nieprzyjaciół. Branie się takie względem filozfii niemieckiéj po części źle zrozumianéj narodowości, po części zaś brakowi ostatecznego wykształcenia filozoficznego, przypisać należy. Wielu wychodzi z tego mylnego stanowiska, że prawdziwa narodowość na tém się zasadza, aby wszystko co obce, a szczególnie co niemieckie lub moskiewskie od siebie odpychać. Jeżeli wstręt ten pod politycznym względem sprawiedliwy, to przecież w dziedzinie ducha nietylko usprawiedliwionym być nie może, ale nawet na surowe zgromienie zasługuje. — Praca ducha, jako objaw ducha bożego, nie jest wyłączną własnością żadnego narodu, ale do całéj należy ludzkości. Od tego narodu, który w jakiéj umiejętności najdaléj postąpił, inne narody, nie chcąc pozostać nieukami, uczyć się powinny. Naród, który się o postęp duchowy innych narodów nie troszczy, sam się wyklucza z powszechnego życia duchowego; zamyka on się jak ślimak w skorupie zarozumiale, w swéj indywidualnéj ograniczoności, a nie przystępując do kommunii ducha boskiego, w całéj ludzkości dopiero swéj każdoczesnéj możebnéj pełni dosięgającego; koniecznie w swém zawarowaniu się w samym sobie, wtyle po za drugimi pozostać musi. Dośćby było na poparcie tego zdania przytoczyć same w sobie zamknięte Chiny, które dla swéj zarozumiałości pogardzającéj wszystkiém co obce, od dwudziestu wieków ani na krok naprzód nie postąpiły, i w skutek tego do takiego stopnia znikczemnienia i niemocy doszły, że garstka Anglików, krajowi od całéj Europy ludniejszemu, dumnie swe prawa dyktuje; jest to naturalna przewaga ducha nad ciemną, bezduchową i dla tego nieruchawą massą; jest to ta sama przewaga ducha, którą najdrapieżniejsze zwierzęta, jakby rózgą czarodziejską dotknięte, kornie u nóg człowieka się ścielą, i po swym karku istocie fizycznie słabszéj, głupio-cierpliwie deptać się pozwolą. — Lecz na cóż aż do Chin sięgać? Wpatrzmy się w własną historyą, a przekonamy się z żalem w sercu, że dzisiejsze nasze smutne położenie ów tyle, choć niesłusznie — bo bez głębszego zastanowienia i na oślep — wielbiony sejm czteroletni, najwięcéj przez niebaczność na ducha wywołał. Lubo w łono sejmu tego wielu mężów światłych i ojczyznę gorąco kochających wchodziło, brakowało mu przecież takich, którzyby byli aż na powierzchnią ducha czasu, we Francyi wtenczas burzliwie falującego, wypłynęli. Sejm czteroletni głuchym był albo też zatykał sobie swe delikatne jeszcze szlacheckie uszy na potężny ryk plebejski, po całym świecie się rozlegający, w którym się, iż tak rzeknę, aż do ludzkości sięgająca fermentacya nowego, wyższego życia ludowego objawiała. Gdyby był usłuchał tego głosu, domagającego się wszechwładztwa ludu, zniesienia wszelkich kast, zawarowania wolności i równości dla wszystkich mieszkańców kraju bez względu na stan, urodzenie i religią, nie byłby podpierał spróchniałego tronu niedorzecznem prawem dziedziczności, nie byłby ogłaszał religii katolickiéj za panującą, nie byłby brał chłopów pod czczą i w rzeczy saméj nic nieznaczącą opiekę prawa, ale im nadał *samo prawo* wolności i równości, a nie byłby porodził i to wśród długich boleści połogowych takiéj bękarcicy, jaką jest konstytucya 3. Maja, i nie byłby potrzebował, szukając opiekuna i ojca chrzesnego dla niéj, uciekać się z ubliżeniem godności narodowéj pod skrzydła sąsiada. — W całéj téj konstytucyi nie masz ani jednéj z owych błyskawicznych idei, które z najgłębszych czeluści ducha wylatują, i które duszny parokrąg życia ludowego aż do dna ożywczo rozdzierają, nie masz ani jednego głosu, co to jak grom serce całego narodu na wskróś przenika, i cały naród do nowego exaltowanego życia zapala. Większa część szlachty z szałem wprawdzie witała to wielkie dzieło swoje, nie wiedząc o tém, że podobna do dziecka klaskającego w dłonie nad domkiem z kart wystawionym. Radowała się ona temu, że tron nowym filarem podparła, a nie wiedziała w swéj prostoduszności o tém, że nie od kalonki lecz od przyciesi naprawę gmachu zaczynać należy. Puszyła ona się z swéj niesłychanéj liberalności, że chłopa pod opiekę prawa najłaskawiéj wziąść raczyła,

jak gdyby była Bóg wie jaką ofiarę na ółtarzu ojczyzny złożyła; gdy tymczasem ta sławiona opieka na tém się zasadzała, że nie wolno było szlachcicowi chłopa więcéj uciskać jak go dawniéj uciskał i że tym sposobem ucisk *de facto* zamienił się w ucisk *de jure*. Oto liberalizm konstytucyi 3. Maja, całéj mdłéj, niedołężnéj, czczéj, szlacheckiéj, a nie narodowéj. Oto konstytucya dowodząca, że sejm czteroletni nie umiał się podnieść aż na sam szczyt ducha czasu, nie umiał owym czarodziejskim talizmanem wolności, nieobrachowanych sił w łonie ludu spoczywających na widnią życia narodowego wywołać, chociaż miał we Francyi naoczny przykład, że nie szlachta ale lud jest wszystkiém; — nie posiadał tyle światła i tyle patryotyzmu, aby się wszystkich swych prerogatyw szlacheckich dla ocalenia całega narodu wspaniałomyślnie zrzec, i dla tego wolał z swym drogim klejnotem do grobu zstąpić; aniżeli utratą jego, żywot wielkiego narodu okupić. Niechby tylko było to ciało prawodawcze, natchnione duchem czasu, tym prawdziwym duchem świętym, to jedno prawo uchwaliło: że wszyscy Polacy bez względu na urodzenie lub religią równymi i wolnymi być mają, a ani ohydna Targowica nie byłaby śmiała swéj podnieść głowy, ani też mocarstwa ościenne nie byłyby się ważyły narodu rozdzierać!, którybysię im krociami walecznych w znaki dać potrafił. — Nie można sejmu czteroletniego i tém uniewinniać, że konstytucya 3. Maja o pięć miesięcy, pierwszą konstytucyą francuzką, porodem rewolucyi będącą, wyprzedzając, jéj odblaskiem na żaden sposób być nie mogła. Takie uniewinienie tylko jest pozorne. Prawda; że konstytucya francuzka o pięć miesięcy późniéj formalnie za obowięzującą naród uznaną była, ale w rzeczy saméj istniała ona już od chwili, kiedy Mirabeau o dwa lata pierwéj owemi pamiętnémi słowy królewskiego mistrza ceremonii dobitnie odprawił: »idź i powiedz twemu panu, żeśmy się tu zebrali z rozkazu ludu, i że ztąd chyba tylko przemocy bagnetów ustąpimy.« Czyż może duch czasu, i to w kilku bez dłuższego namysłu wyrzeczonych wyrazach, przezroczyściéj i określniéj być odbitym? A jednak sejm czteroletni nie umiał się poznać na tém, co to znaczy, kiedy reprezentant narodu, króla nie swoim panem nazywa; a nadewszystko nie mógł tego swym kastowym a więc ograniczonym rozumem pojąć, co to znaczy lud. — Tak jest, — sejm czteroletni nie był tak światłym, jak go powszechnie wystawiają; miał on jeszcze wzrok łuszczką przesądów odziedziczonych przyćmiony, i dla tego nie dojrzał blasku pięknego słońca z za Renu nad światem wschodzącego; pomimo swego patryotyzmu nie był on przecież owym szczytnym duchem obywatelskim przejęty, co to wszystko a wszystko dla ocalenia ojczyzny poświęcić każe, inaczéj nie byłby obstawał przy swych egoistycznych przywilejach, nie byłby braterstwa na jedną tylko kastę ograniczał, ale byłby i w chłopie swego brata uściskał, a niezawodnie, pobrawszy się z nim za ręce, byłby stał opoką przeciw wszelkim burzom skądbądź powstać mogącym. Braku tego wzniosłego poświęcenia nie przypisuję przecież złym chęciom szlachty, — tak nikczemną ona w ogóle nie była, — lecz brakowi prawdziwego światła, które nie tylko głowę oświeca, ale i serce do wielkich czynów i do ponoszenia największych trudów i ofiar zagrzewa, i dla tego bez ogródki moje zdanie w ten sposób objawiam, że Polska brakiem światła upadła i upaść musiała. Albowiem wtedy tylko ma naród istotne prawo do dalszego istnienia, kiedy jest przezroczystém naczyniem ducha ludzkiego w najwyższéj możebnéj potędze promieniejącego, kiedy jest piastunem i zwiastunem ducha historycznego ludzkość bezprzestannie naprzód prącego, kiedy jest, iż tak rzeknę, lampą duchem bożym napełnioną i nim światu przyświecającą. Ztąd naturalny wniosek, że godzina zmartwychwstania dla Polski dopiero wtedy wybić może, kiedy ducha bożego, t. j. ducha w historyi swoją olbrzymią pracę bez przerwy odbywającego, na nowo pożyje, kiedy wzbić się potrafi aż do owéj ostatecznéj wyżyny, w któréj duch historyczny z teraźniejszości w przyszłość bezpośrednio ostatni krok swój stawia, słowem, kiedy napije się światła z strumienia duchowego żywotnym prądem coraz daléj w ludzkości wirującego; — inaczéj, choćby jéj się udało obce jarzmo zwalić, bez światła chwilowoby tylko, i to nie żyć, ale roślinnie wegetować mogła, ażby ją prędzéj czy późniéj znowu, jak trupa bezduchowego z dziedziny życia historycznego bez miłosierdzia wypchnięto. Miłując przeto ojczyznę naszą, starajmy się przedewszystkiém o nabycie światła; kształćmy ducha naszego dniem i nocą, nie ustawajmy, jak to naszym zwyczajem, na połowie drogi, bo światło prawdziwe jest nagrodą długiéj i wytrwałéj pracy; — duch ludzki podobny jest do motyla w poczwarce zamkniętego, co całéj swéj wewnętrznéj żywotnéj siły do rozdarcia swéj ciemnéj powłoki użyć musi, zanim wolny w promienny ocean światła się wzbije. Nie odwracajmy oczu od światła gdziebądź, choćby i u naszych nieprzyjaciół się objawiającego, a szczególnie poznajmy się na filozofii niemieckiéj, która przez czas długi w najgłębszych tajnikach ducha zatopiona, równie jak Chrystus na pustyni dla zmysłowego oka ludzkości

niedostrzegalną była, aż nareście po długiéj podróży po krainie myśli w wieńcu promiennym jako odkupicielka do ludzkości wraca.

Że takie a nie inne stanowisko filozofia niemiecka dziś zajmuje, okaże się najlepiéj z rozbioru dzieła Salleta: Die Atheisten und Gottlosen unserer Zeit, które niczém inném nie jest jak przeprowadzeniem filozofii niemieckiéj z teoryi w praktykę, z wiedzy w życie.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

PRZEGLĄD PISM.

Poezye Alexandra Grozy

przez

ROMANA MAZURA.

(Ciąg dalszy.)

Właśnie podobnéj wiary w natchnienie gminne, którą
tylko gorąca miłość dać może, powtarzam, zbywa całkiem
A. Grozie. Jako zaś jął się go był skutkiem zimnych kryty-
cznych zastanowień, tak téż bojaźń obrażenia podobnego
sądn chłodnego nakształt zmory ciśnie mu piersi, niedo-
zwala ni swobodnych ruchów, ni marzeń swobodnych. Wy-
stawcież sobie tedy na dzikim, ukraińskim biegunie harcu-
jącego jeźdźca który trwożny o siebie, niepewny co czynić
naprzemian to puszcza cugle, to znów by koń się nie zbie-
gał ściąga je nagle, i dbały by niestracić przyzwoitéj po-
stawy, co chwila do równowagi chwieje się w lewo to w pra-
wo: — będzie to obraz charakteru autora. Ztąd czytanie
ich staje się przykrém, nieznośném, niewypowiedzianie nu-
żącém.

Widzimy wszędzie ponawianie raz po raz, usiłowanie
kreślenia obrazów, wcielenia się w myśl, naśladowanie to-
ków poezyi Ludu, nieledwie bezowocne, marne. Pisarz
nieuchwycił chyba gdzieś na chwilę, właściwego, prostego
i szczerego tonu, natomiast, co strona wpada w parodją ich,
w płaskość i nikczemność nieprzebaczoną poecie; — to znów,
by złagodzić te rażące plamy, w przeciwną rzuca się stronę,
razem przechodzi w mdłą sentymentalność, powiększa prze-
sadza najdrobniejsze rzeczy, parodjując w ten sposób ckli-
wość Kropińskiego i pokrewnych. Dla dokładniejszego oce-
nienia, przejrzyjmy po szczególe co znaczniejsze twory.

»Pierwsza pokuta Zeleźniaka« — duma ukraińska — opi-
suje ustęp życia jego, gdy mszcząc się morderstwa na ro-
dzicach swych dokonanego, strawiwszy młode lata w roz-
boju, udał się był na pokutę do monasteru kijowo-pieczer-
skiego, aż ztąd znów namówiony przez mnicha Melchide-
zeka, wypadł krwią zlać Ukrainę. Autór powieść swą po-
czyna od pierwszych niewinności swego bohatera czasów,
ale szczęsnéj doli malowidło zaciemniać stara się smutnemi
przeczuciami:

»Stary kruk rzucił głuchą pustynię,
I do młodego gołębia prawił:
Póki ty jeszcze będziesz się bawił,
Wzdychał a gruchał? — strzelce dokoła
Gotują strzelbę — karmią sokoła.
Chódź ich wojować — dam ci me szpony;
Dam ci me skrzydła. . . . . . Za trzy zagony
Przepędził gołąb' czarnego kruka. . . . .

* * *

Maxym szedł w pole; ojcowskie pługi
Zorały zagon jeden i drugi,
On usiadł przy nich; z żytnich równianek
Jął pleść kapelusz. Śliczny był ranek,
Wiatr z lekka chodził, poganiacz śpiewał,
Wół żuł swą żujkę, koń głową kiwał,
Pług skrzypiał; razem w Maxyma ręku
Pęknie plecionka, łza spadnie z oka.
Poganiacz pieśń swą urywa w jęku,
Stary pies wyje, koń jak opoka
Stanie, i głowę zwiesi do ziemi,
I wół nie żuje. Oczmi dużemi
Po wszystkich twarzach Maxym potoczy,
Co to jest pyta, i swoje oczy
Od łez obciera; co to? nikt nie wié,
A sroka tylko skrzeczy na drzewie;
Ej, czy nie gość się do domu zjawił,
O którym wczoraj czarny kruk prawił? —
I zgadł kruk czarny, nie kruk — mnich czarny«

Maxym w domu znajduje pomordowanych ojców, siada na koń rozpaczy pelen i na Zaporożu wojenném, rozpoczął nowy zawód. Lata młode, jak orzeł pióra, stradał w rozbojach i walkach, lecz z czasem serce jego skołatane poczyna mięknać i żałować popełnionych zbrodni. Raz gdy wśród nocy pilnuje nad Dnieprem jarów,

» . . . . . . umilknie wiatr, ziemia, fala,
Krwawo miesięczny krąg się rozpala,
Dniepr się rumieni i już w krwi cały;
Znów wiatr zaszumiał, fale zagrały
I na brzeg wbiegły, a tam, na brzegu,
Jęły się zbierać w długim szeregu,
Czernieć, podrastać i w każdéj fali
Żywe się ludzkie oko zapali,
Głowa urodzi, i widmo człeka
Zrywa się z fali, na brzeg ucieka.
A Maxym siedzi, patrzy wzdłuż brzegu,
I swych znajomych w tym każdym zbiegu
Czuje, poznaje . . . . . . Zkądże tu oni?
Każdy z nich w cichéj złożon ustroni,
Pod muru sklepem, bryłą kamienia
I wiekiem czasu, co na proch zmienia
I mur i kamień . . . . zkądże? I mrowie
Przez kości przeszło, włosy na głowie
Dębem stanęły, serce struchlało«. . . . .

Z rankiem obudził się Zeleźniak z snu męczącego, ale nie zdołał odegnać z duszy okropnego widzenia; przejęty skruchą, opuszcza Zaporoże i dotychczasowe życie, daje jałmużny kościołom, a sam pustelnikiem zostaje. Czterdziestodniowy post strawił na modłach wśród lasu,

»Na noc sosnową kłodę zażega
Słup gorejący nad las wybiega,
Maxym uklęka i głośno czyta
Święte pisanie. Wszelki twór chwyta
Niebieskie słowa — patrzaj o dziwy!
Siadł przy ognisku i żubr straszliwy,
I wilk, i niedźwiedź. i gad wszelaki,
Nawet powietrzne zbiegły się ptaki,
Milcząc słuchają; a Maxym czyta,
Ale gdy ranna jutrznia rozkwita,
Gdy dzwon doleci, gdy amen rzeknie.
I zwiérz, i ptastwo, i gad ucieknie«. . . . .

Podczas świąt Zmartwychwstania kruk czarny chroniąc się przed głosem dzwonów świętych i hymnów radosnych, uchodzi w najgłębszą puszczę i tam znalazłszy Maxyma na modłach, idzie doń:

» . . . . mnichem osłoni
Szatańską postać — i w téj postawie

Skrada się milczkiem po cichéj trawie:
Zaraz Maxyma wolna powieka
Ciężyć zaczęła, mgliły się oczy,
Rwały się słowa, aż sen zamroczy
I myśl i oko; z ręku wycieka.
Święte pisanie . . . .
A czart śpiącego otulał skronie,
I zabójczemi truł marzeniami. —
I widać piekło w Maxyma twarzy,
Która to zblednie to się rozżarzy;
W oku, co strasznie śpi wytrzeszczone,
Widać jak kipią żądze szalone;
Ręka drze trawę, w piasku się grzebie —
Szablo! ta ręka tak szuka ciebie.
Ciebie gołąbko! myśli spokojna!
Z twego cię gniazda spłoszyła wojna;
Już wam nie wrócić więcéj do siebie,
Jak szatan w piekle, jak Pan Bóg w niebie.
I czart wypalał strasznemi słowy
Pobożne myśli z Maxyma głowy,
I co dosiały Boże anioły.
Wszystko to poszło w żużle, popioły,
A i te wicher dumny rozmiecie.
Maxym jak Chrystus w tym świecie,
Całe czterdzieści dni w puszczy strawił,
Czemużby swego ludu nie zbawił?
Zbudził się Maxym. . . . . .

i pijany snem swoim pogonił na Ukrainę, pobudził tłumy snadne do mordu, i rozpoczął rzeź pamiętną. — Tak się kończy poemat.

Jakeśmy widzieli autór niezadał sobie wcale trudu w skreśleniu planu, w powiązaniu wzajemném wypadków sprowadzenia ich biegu do pewnego, zamierzonego punktu. Tego niemyślę liczyć mu za złe. Wolności podobnéj niezaprzeczone ma prawo każdy poeta, osobliwie téż gdy sobie podobny przedmiot obierze. Lecz niedostatek takowéj, jak ją nazwał Mochnacki, architektoniki poetycznéj obowiązanym jest koniecznie zastąpić innego rodzaju czarem; siłą liryczną, pięknością i prawdą pojedyńczych obrazów, polotem śmiałym cudownéj fantazyi. Nieszczęściem w dopiero co przejrzanym tworze zbywa tych wszystkich przymiotów.

Przytoczyłem tu dosłownie miejsca powieści, na których polega jéj całość i myśl. One to winny były stać się niejako stawami łączącemi i poruszającemi treść luźną i rozwlekle ciekącą. Tymczasem nieodpowiadają one najmniéj trudnym wymaganiom. — W nawale rozwleczonych opowiadań ubocznych, obrazowań zupełnie zbytecznych, giną one wcale niedojrzane, kiedy przeciwnie owe inne wypadki jako skutki i ustępy głównéj treści na lekką, pobieżną tylko zasługiwały wzmiankę, te zaś na doskonałe, rozwinięte, silne skreślenie.

Tam gdzie nie zewnętrzne okoliczności na czyny człowieka wpływają, ale gdzie całą sprężyną jest tylko walka odbywająca się w sercu i głowie jego, tajemniczém działaniem niewidzialnego świata wszczęta i prowadzona; — tam właśnie potrzeba, aby burza namiętności tak silnie, tak porywająco, tak widomie wrzała w słowach poety, żeby bezsprzecznie uznać ją każdemu przyszło dostateczną do wywołania gwałtownych, wściekłych postępków. Nie dosyć więc jest, że autór przytoczył morderstwo starego Zeleźniaka i żony jego, nie dosyć to by syn ich biegł szukać zemsty. Nie czyn ten bowiem, którym nikczemne serce bez pomsty w podłém poddaniu się wyrokom zniosło, ale zgroza, gra szalona uczuć wzniecona krwawém zabójstwem rodziców w sercu wolnego młodzieńca, żelazo mu do rąk dała. Również nie dosyć na tem, gdy czytelnik się dowie, że Zeleźniak od dziwnego, ponocnego zjawiska poległych towarzyszy przejął się skruchą; — owszém tu prawy poeta roztoczyłby mu piersi kozackiego atamana, i pokazałby na oko jak mróz biały trwogi i przerażenia ziembi je, jak żmija zgryzot je szarpie, rozdziera — aż od tego widowiska dreszcz by przeszedł każdemu po sercu. Wtedy obeszło by się bez opowieści jaki był wpływ pośmiertnych gości na dalsze życie kozaka, wtedy niedziwiłby nikogo obraz skruchy, pokuty jego w lesie bezpośrednio następujący. — Wreszcie poeta prawy nieprzestałby na prostém powiedzeniu jako do uśpionego pustelnika szatan schodzi i podszepty swemi na nowo do zbrodni budzi; ale właśnie przejmującemi wyrazy, pełnemi tajemnicy, uśpiłby swego słuchacza niby magnetyczną siłą, a rozwijając nad nim czarną chmurę, piekielnych pokuszeń, spuściłby z niéj na łono jego trującą rosę, dałby mu czuć jak kropla po kropli spada i wsiąka w duszę owładniętą czarta przemocą. Wtedy bez poprzedniego domówienia autora że myśl spokojna i anielskie natchnienia uszły z serca pokutnika przed tchnieniem złego, przed wojny żądzą, niedziwiłby wcale widok budzącego się Zeleźniaka i téjże chwili krwawy chwytającego nóż. —

Wnosić przychodzi z podobnego trybu tworzenia, że dumie, o któréj mówimy, ani natchnienie wieszcza, ni sztukmistrza umysł nieowieścił w poczęcia chwili; tak bowiem natchnienie nieświadome a potężne, jak świadoma rozwaga, wskazywałyby twórcy kształty przyzwoite dziełu zamierzonemu.

(Dalszy ciąg nastąpi w No. 33.*)*

Sprostowanie. — Do Nr. 29. wkradło się w niebytności redaktora nadzwyczaj wiele błędów psujących sens. Główniejsze wymieniamy:

W wierszu Skargi chłopa słowa:

»Ej do licha próżne żale
Wnet przyjdzie taki czas«

po wykreśleniu dwóch następnych wierszy stały się calkiem nie potrzebnemi.

Str. 226 w. 4 od dołu kol. 1 zamiast nie może p. b. nie winien. Przypisek str. 228 kol. 1 nie należy wcale do tego numeru; tamże kol. 2 w. 19 z. Zatrudnienia i przyjemności itd. p. b. Złączyć zatrudnienia i przyjemności itd. W Przeglądzie znajdują się następne błędy: str. 230 kol. 2 w. 12 od góry zam. *obczyzna i szkólnictwo* czytaj *obczyzna, szkólnictwo;* — w. 9 od dołu z. *czyliżby* cz. *czyliby;* — w. 4 od dołu z. *pewnie* cz. *przeciwnie;* — w. 2 od dołu z. *zrdowe* cz. *zdrowe;* — 231 kol. 1 w. 4 od góry z. *Sławianie* cz. *stawianie;* — w. 16 od góry z. *z których się składa wartość* cz. *do których przywięzujemy wartość;* — w. 27 z. *co się ma zastósować do dziei* cz. *co się da zastósować do dzisia;* — w. 40 od góry z. *starają* cz. *starając;* — w. 9 od dołu z. *Chej* cz. *Ehej;* — kol. 2 w. 16 od góry z. *sdobyczne* cz. *zdobyczne;* — w. 31 od góry z. *wyprawiać* cz. *wprawować;* — w. 11 od dołu z. *zastósowane* cz. *zastósowalne;* — w. 1 od dołu z. *toż* cz. *też;* — str. 232. kol. 1 w. 17 od góry z. *już* cz. *niż;* — w. 27 od góry z. *Guineta* cz. *Quineta;* — w. 32 od góry z. *mógł dawać stósowne siebie owoce* cz. *mógł wydawać godne siebie owoce;* — w. 41 — 42 od góry z. *Na głos podniósł się lud* cz. *Na głos jego podniósł się lud;* — w. 9 od dołu z. *min* cz. *ruin;* — kol. 2 w. 9 od góry z. *monarchiczny* cz. *hierarchiczny;* — w. 25 od góry z. *umieszczenie* cz. *umniejszenie;* — w. 40 od góry z. *naukach* cz. *znakach;* — w. 41 od góry z. *a więcéj bardziéj* cz. *a bardziéj.*

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w Wtorek. Prenumerata, wynosząca półrocznie 2 Talary, przyjmuje się po wszystkich królewskich pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych. Główny debit ma księgarnia J. K. Zupańskiego w Poznaniu.

Redaktor *A. Woykowski.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*